

GROBOWIEC KSIĘCIA KAROLA BURBON I JEGO MAŁŻONKI AGNESY BURGUNDZKIÉJ W SOUVIGNY.

GROBOWIEC KSIĘCIA KAROLA BURBON
I JEGO MAŁŻONKI AGNESY BURGUNDZKIÉJ W SOUVIGNY.

Souvigny jest małém, nie znaczącém miejscem w dzisiejszym departamencie *Allier*, które istniało jeszcze za czasów Cezara i nosiło nazwisko *Umbravallis*.

Możny pan *Aynard Burbon*, w 916 założył tam klasztor Benedyktynów, i hojnie go uposażył; do niego należał niegdyś kościół świętego Piotra, dziś już nieistniejący, przesądem ludu, czarnoksiężnikom przyznany, a który jednak w 14 wieku założonym został.

W dawnéj i nowéj kaplicy, należącéj do tego kościoła i do nowego na témże samém miejscu zbudowanego, znajdują się groby starożytne książąt. Najznakomitszym pomnikiem, zdobiącym ową kaplicę, jest grobowiec na naszéj wyobrażony rycinie, księcia Karola Igo, pod którego właśnie panowaniem nowy kościół odbudowanym został. Spoczywa on tu obok swojéj małżonki Anny burgundzkiéj. Na kolosalnym Sarkofagu marmurowym, wznoszącym się na małych kolumnach, leży ta książęca para z marmuru w naturalnéj wielkości wyrobiona; pomiędzy słupami znajdują się nisze z wizerunkami dziesięciorga dzieci i opiekuńczych patronów domu. Pomnik ów odznacza się wyborną robotą.

O KOMETACH.

Przed kilką laty jeden z dzienników angielskich ogłosił domysły wsparte postrzeżeniami astronomicznemi Jakóba Herszela (syna), sławnego Astronoma, z których wnosić należy że słońce nie tylko światłem i ciepłem obdziela planety i komety ciężące ku niemu; lecz że ta gwiazda jest ciałem ciemném, otoczoném atmosferą gorejącą i że na powierzchni swojéj utrzymuje istoty, równie jak my, życiem obdarzone. Podając o tém wiadomość wydawca dziennika *Revue britannique*, utrzymywał między innemi, że komety nie mogą bydź mieszkalne, dla zbyt wielkich zmian temperatury, jakich doznają w zbliżaniu się i oddalaniu od słońca. Mniemanie to dziennik Edyngburski zbijał ten domysł, następującém rozumowaniem, dosyć zaspakajającém. Wyłożymy więc teoryą uczonego wydawcy.

Newton, mówi on, utrzymywał że światło komety, którą obserwował 1780 r., było dwa tysiące razy mocniejsze od jasności rozpalonego żelaza. Gwiazdy te przecież, długo uważane za ogromne massy ognia, są ciałami zsiadłemi, mniejszą lub większą gęstość mającemi, których temperatura jest prawie jednakowa, kiedy się znajdują w odległości 12,200 milionów mil angiel. od słońca, to jest, gdy są na trzecią część jego promienia oddalone. Analogia upoważnia nas do wniosku że komety są zamieszkane przez istoty żywotne i rośliny, podobne tym, jakie żyją na ziemi naszéj. Żeby jednak nabyć w téj mierze jakiegoś przekonania, wypada pierwéj przypomnieć tu niektóre własności cieplika.

Lubo słońce jest źródłem rozlewającém światło, zdaje się wszakże że ciepło téj bryły nie jest większe od ciepła ziemi. Jako bowiem cieplik wydziela się lejąc wodę na kwasy lub alkohol, tak, według wszelkiego podobieństwa, i nasze ciepło ziemskie, powstaje u nas dopiéro z kombinacyi promieni słońca z atmosferą ziemską. Za tym domysłem przemawia *naprzód* coraz większy ubytek ciepła w rozrzadzającém się powietrzu; *powtóre* że ku granicom atmosfery, promienie najświetniejszego słońca niewywierają żadnéj mocy na wieczne zimno; *potrzecie* że wreszcie bez téj atmosfery, ocean byłby tylko twardą massą lodu, chociażby blask promieni słonecznych był milion razy mocniejszy.

Pobrzeże Peruańskie bezwątpienia jest krajem najcieplejszym na ziemi; podróżni jednak stopniami się podnoszący na pasmo gór Kordillierów, przerzynających toż pobrzeże, czują ciepło coraz zmniejszające się w miarę wysokości, tak dalece że na wzniosłości *Quito* leżącéj 1400 sążni nad poziomem morza, termometr w całym ciągu roku rzadko się podnosi do 13 lub 14 stopni Fakrenheita, czyli 8 Reaumura nad zero. Wyżéj, temperatura bardziéj się jeszcze zniża, tak dalece że na 2400 sążni wysokości pionowéj pod równikiem widać tylko pola i góry wiecznych lodów, jak przy biegunach. Chciano to tłumaczyć, przypuszczając że ciepło powierzchni ziemskiéj, pochodzi nietylko wprost od słońca lecz z wielu rozmaitych przyczyn; że mianowicie temperatura równin i dolin ustanawia się przez połykanie i odbijanie promieni słonecznych. To jednak tłumaczenie mniéj jest zaspakajającém od naszego, które trudność tę rozwiązuje rozrzadzaniem lub zgęszczaniem się stosunkowém powietrza.

Kilka prostych doświadczeń przekonać o tém mogą. Na kawałek lodu umieszczony pod próżnym dzwonem machiny pneumatycznéj, kierując skupione promienie słoneczne przez palące zwierciadło lub soczewkę, niepostrzegamy żadnéj w nim zmiany; lecz wpuściwszy do dzwonu powietrze, natychmiast lód topnieć zaczyna. Wrzuciwszy podobnież kawałek lodu do dzwonu na światło wystawionego, stopi się on prędko przez samo jedynie działanie promieni słonecznych, stykających się z powietrzem. Dajmy że zamiast lodu kula żwirowa wystawia *ziemię*; bańka szklanna *słońce*, a nalany w nią alkohol jego *światło*. Lejąc alkohol z bańki (czyli światło ze słońca) na kulę żwirową, niepoczujemy żadnego ciepła; lecz jeżeli kulę żwirową oblejemy atmosferą wodną, skoro alkohol zetknie się z wodą, cieplik wydzielać się zacznie; kulka żwirowa cieplik ten będzie pochłaniać; i choćby alkohol był zimny jak lód, temperatura wody otaczającéj stanie się łagodna, a nawet go-

rąca (*). Toż samo właśnie się dzieje przy wpadaniu słonecznego światła do atmosfery. Jako oceany alkoholu nie dałyby żadnego ciepła na kuli zwirowéj, tak podobnież, glob nasz bez atmosfery próżno pływałby w świetle tysiąc razy mocniejszém od tego, jakie nam wylewa gwiazda dzienna; byłby on tylko pustynią zlodowaciałą, na któréj życie w samym zarodzie stłumione, niemogłoby się nigdy rozwinąć.

Dla téj przyczyny, gdyby Merkury miał mniejszą atmosferę, a Uranus czyli Herszel najdalszy od słońca, większą od ziemskiéj, temperutura tych planet byłaby taż sama, pomimo niezmiernéj różnicy w odległościach ich od słońca. Podobną więc jest rzeczą do prawdy, że planety tém mniejszą mają atmosferę im bliższe są słońca, i że ta się powiększa w miarę od odległości, w jakich słońca zostają. Gdyby nasza ziemia utraciła część swojéj atmosfery, mogłaby odbywać bieg swój obrotowy po obwodzie Merkurego, bez żadnéj dla nas szkody; podobnież gdyby jéj atmosfera powiększyła się, mogłaby biedz po drodze Urana, a ród ludzki żadnego nieponiósłby uszczerbku.

Podług tego co się wyżéj powiedziało, łatwo zdać sprawę o kometach, nadewszystko zaś wytłumaczyć tworzenie się ich ogonów.

W naturze wszystko ma swoje przeznaczenie, najdrobniejsze atomy i najogromniejsze massy zdążają ku wykonaniu jéj zamiarów. Nie należałożby rozumieć że komety nie ponoszą tak wielkich zmian w temperaturze, jaki im pospolicie przypisując, wnosiemy że życie niemogłoby się utrzymać na gwiazdach rozgrzanych raz do czerwoności żelaza, i znowu ostudzonych bardziéj niż lody przy naszych biegunach. Jakże pojąć aby istoty organiczne mogły znieść tak wielkie zmiany w swoim bycie. Nie lepiejże wnosić że wszechmocna natura ma jakiś sposób zapobiegający tym gwałtownym zmianom ciepła i zimna. Niegodziż się sądzić *np.* że atmosfery komet zmniejszają się i powiększają w miarę zbliżania się lub oddalania ich od słońca. Obaczmy ile stan dzisiejszy naszych wiadomości dozwala nam rozwiązać to pytanie.

Powszechnie teraz wiadomo z obserwacyj, że komety zostające w największéj odległości od słońca (aphélie), otoczone są grubą i gęstą jak obłok atmosferą; że zatém promienie słońca, jakkolwiek rzadkie i słabe w takiéj odległości, przechodząc przez środek tak wielkiéj gęstości, mogą wydzielać dostateczne ciepło na utrzymanie zwierzęcego i roślinnego życia na kometach. Wielki astronom uważał, że kometa 1780 zostający w odległości 138 razy większéj niż ziemia od słońca, odbierał sześć razy więcéj światła, niż go księżyc nam udziela, a to przez mocniejszą refrakcyą w gęstéj swéj atmosferze. W miarę jak się kometa zbliża ku słońcu, ogon jego zaczyna się tworzyć, i przedłużać w stosunku do postępowéj prędkości samego jądra. Tym sposobem kometa rozrzedza stopniowo atmosferę swoją, unoszącą się za nim nakształt chorągwi; przez to zaś natężenie ciepła na nim bynajmniéj niewzrasta, pomimo zbliżenia do słońca. Ogon komety widzianego w Lauzanie w Szwajcaryi, trzynastego września 1744, długi był na 25 milionów mil ang. (8 milionów francuzkich); średnica zaś jego była tylko 3 razy większa od ziemskiéj. Kiedy więc osobliwsze te gwiazdy oddalają się od słońca i pogrążają się w najzimniejsze krainy naszego układu, ciepło ich zostaje też same; ogon bowiem ich znika powiększając gęstość i grubość atmosfery, zupełnie tak, jak gdyby podróżny od równika ku biegunowi idący, w miarę zbliżania się ku niemu powiększał grubość odzieży swojéj, dla ochrony od zimna. Z tych uwag wypada że peryody komet możnaby obliczać, ściśle prawie, mierzeniem długości ich ogonów i odległości od słońca. Komety z najdłuższemi ogonami najmniéj zbliżające się do słońca, odbywają drogi największe i mają najdłuższe peryody. Idą potém te które się bardziéj zbliżają ku słońcu, i których ogony są jeszcze dosyć wielkie. Trzecie, których, perihelia są dosyć wielkie, a ogony już krótsze. Nakoniec czwarte najblisze słońca z najkrótszemi ogonami, mają drogi najmniejsze i peryody najkrótsze.

Zdaje się być pewną że atmosfery planet rosną także w miarę oddalania się ich od słońca; że nawet sama ta gwiazda, otoczona atmosferą zbyt rozrzedzoną, po nad którą unosi się powłoka świetna fosforyczna i pływająca po niéj, jak oliwa po wodzie, zaludniona jest istotami nam podobnemi, które nas przewyższają delikatnością swych organów. Wyższość ta słusznie przystoi mieszkańcom największéj i najpiękniejszéj kuli w naszym układzie, która zdaje się niepotrzebować planet rozsianych około siebie, gdy przeciwnie te ostatnie, pozbawione jéj światła i wyruszone ze swoich względnych położeń, bez działania słońca, poszłyby zgubić się w głębiach przepaści ze szczątkami zgasłych na sobie pokoleń żywotnych.

Kończąc te uwagi dodamy, jako dowodliwą rzecz, że każdy planeta układu słonecznego był początkowo kometą, i że każdy kometa stanie się kiedyś planetą. Ponieważ

(*) Podobnież kwas siarczany łączy się we wszystkich stosunkach z wodą; przy połączeniu tém wydziela się zawsze mocne ciepło. Cztery części kwasu zmieszane z jedną wody, podnoszą temperaturę mieszaniny do 300 st. Fahrenheita, czyli 118 Reaumura.

słońce jest największą bryłą i środkiem układu, najprostszy więc wniosek, że najpierwéj stworzone było. Można zaś przypuścić że nim słońce nastało, płyn eteryczny wypełniał przestrzeń, nakształt mgły; że środki ciążenia powstały powoli w téj pustéj przepaści bez granic; że materya gromadząc się około tychże środków, potworzyła obłoczki, które z czasem nabywały coraz większéj gęstości, mogącéj ulegać prawom ciążenia. Massy te ciężące dążyły ku innym sobie najbliższym, z chyżością rosnącą w miarę ubywającéj odległości między niemi; w miarę zaś zbliżania się ich ku sobie, cząstki lżejsze oddzielały się i z tyłu za niemi tworzyły ogony. Z początku ciała te dążyły w linii prostéj do środków ciążenia; lecz że i siła odpychania zaczęła także działać w naturze, niemogły więc zetknąć się ze słońcami, i opisawszy nakształt planet połowę obwodów, odepchnięte zostały w przestrzeń. Potém znowu przyciągane i odpychane, po wielokrotnych biegach podobnych, coraz gęstość swą zwiększały, dostawały ogony coraz krótsze i mimo-środy dróg swoich mniejsze; słowem stawały się z czasem planetami. Jest to więc domysł prawdopodobny, że każdy planeta był z początku wyziewem, obłoczkiem, potém kometą, nareszcie stał się planetą.

WYSPA RODUS.

Z pomiędzy wysp morza, oblewającego brzegi Azyi mniejszéj, najpiękniejszą jest *Rodus* albo *Rodis*, ośm mil długa a trzy szeroka. W starożytności już sławną była z rozkosznego klimatu i wybornych owoców. Grunt jéj bardzo żyzny, lecz mało uprawny. Przez długi czas była siedliskiem możnéj Rzeczypospolitéj, a w wojnach z Rzymianami, bądź jako sprzymierzona, bądź jako przeciwniczka, znakomitą odgrywała rolę; zakładała nawet swoje osady w Italii, Sycylii i w Hiszpanii; jéj morskie ustawy za wzór dla starożytnych służyły, a wytworne dzieła sztuki, rozsypane w ogólności po zachwycających i bogatych wyspach pobrzeża Azyi mniejszéj, sprowadzały do Rodu wielu możnych Greków i Rzymian. Dopiéro za panowania Wespazyana, Rodus stała się rzymską prowincyą. W siódmym wieku wpadła w moc Arabów, z któréj wkrótce wyswobodzili ją znowu chrześcianie; w r. 1309 stała się głównem siedliskiem rycerzy Ś. Jana, którzy przedtém utraciwszy Palestynę, znaleźli byli pierwsze na *Cyprze* schronienie. Odtąd przybrali nazwisko kawalerów *rodyjskich.* Ze świetną walecznością wytrzymywali powielekroć razy powtarzane napady Turków, a w r. 1480 zdołali znieść i odeprzeć najzaciętsze oblężenie; musieli jednak uledz przewadze i poddać wyspę Turkom 1522 r. którzy ją od téj chwili, ciągle w posiadaniu mają. Zostaje pod zarządem zwierzchniczym Kapudana Paszy, naczelnego rządcy wszystkich wysp Archipelagu; obecnie liczy do 40,000 mieszkańców i jest jedném z najważniejszych miejsc dla budowy okrętów tureckich.

Stolica jéj tegoż imienia, była jeszcze za czasów wojny Peloponezkiéj, na lat 400 przed Chrystusem, założoną i zbudowaną przez tegoż samego mistrza, który wzniósł mury Pirejskie w Atenach. Strabo, jeograf grecki, który zwiedził wielką liczbę miast świata, w piérwszym chrześciaństwa wieku, przenosi je nad wszystkie inne; drugi zaś pisarz grecki zwiedzający to miasto we 200 lat późniéj, w świetnych kolorach maluje jego wspaniałość, i zowie go jedyném o którém można powiedzieć „że jest warowne jak twierdza, a jak pałac ozdobne.“ W epoce najwyższéj potęgi i blasku, nim Rzymianie podbili Rodus, zdobiło je 3000 posągów i 100 olbrzymich kolosów. W liczbie ostatnich był sławny ów *kolos rodyjski*, policzony między tak zwane siedm cudów świata. Miał bydź wzniesionym wówczas, kiedy Demetrius zdobywca miast, król macedoński na lat 300 przed Chrystusem, został zmuszonym do odstąpienia od miasta, po długo trwającém i ścisłém oblężeniu. Olbrzymi ten posąg, dzieło *Charesa* z *Lindu*, miał blisko 108 stóp wysokości a po dziesięcioletniéj nieustannéj pracy, nakładem około 50,000 talarów dokończony. W lat piędziesiąt sześć potém, trzęsienie ziemi wyparło ów kolos z jego posady i obaliło. Naprożno cała Grecya, nawet król Egiptu błagali Rodyjczyków, aby tę statuę na nowo podnieść, z ofiarą przyjęcia na siebie wszelkich wydatków. Rodyjczycy posłuszni rozkazowi wyroczni, niedozwalającéj na podniesienie kolosu, oparli się powszechnym żądaniom. Jeszcze za czasów Pliniusza rzymskiego pisarza, w piérwszym chrześciaństwa wieku, kolos ów leżał na ziemi, jako zdumiewający widok. Zaledwie ktokolwiek z ludzi mógł objąć palec wielki téj olbrzymiéj statuy; palce zaś inne były tak długie, jak sam korpus większéj części pomników; rozpadlinami, przez upadek tego olbrzyma powstałemi, widać było znaczne otwory, którędy kladziono kamienie, aby ów kolos utrzymać w ciągłéj równowadze, kiedy stał jeszcze niewzruszony. Jeden z wodzów Kalifa Osmana, po zdobyciu wyspy 655 roku, przedał bronz zdruzgotanego posągu jednemu żydowi, który miał nim obładować przeszło 900 wielbłądów. Późniejsze podania wiele bajek i przesadzonych wieści o téj olbrzymiéj statui, w obieg puściły jak *np.* że stał na dwóch przeciwnych sobie opokach



(WIEŻA Ś. MIKOŁAJA NA WYSPIE RODUS.)

przy ujściu do portu, obejmując pod sobą 50 stóp przestrzeni, że okręty z rozpiętemi żaglami swobodnie pod nim przepływać mogły, że w prawéj ręce trzymał gorejącą lampę a na szyi zwierciadło, w którém odbijały się okręty aż do samych brzegów Egiptu podpływające.

Stolica, równie jak i cała wyspa, smutne przeciwieństwo tworzy z dawną świetnością. Dzisiaj ma zaledwie czwartą część owoczesnego obwodu. Odwieczne mury miasto opąsujące, są dotąd nieuszkodzone prawie, ale nie więcéj jak łokciowéj grubości; za niemi fossa 70 stóp szeroka, teraz wyschła

zupełnie. Wzdłuż murów, znajdują się przedmieścia, gustownie zbudowane na spadzistościach góry; składają się z pięknych kamiennych domów, każdy z nich ma nadzwyczaj piękny ogród, gdzie drzewa pomarańczowe, cytrynowe, oliwne, figowe i winogradowe, w największéj obfitości, przecudnych dostarczają owoców.

Nasza rycina wyobraża wieżę Ś. Mikołaja, stojącą w obszernym porcie na końcu grobli. W roku 1461 zbudowali ją rycerze Ś. Jana, przewidując napad wojowniczego Sułtana Mohammeda II. Przy piérwszém oblężeniu w 1480 r. dowódzca turecki, wszystkie swoje siły wymierzył na tę warownią, albowiem jeden renegat niemiecki, za radą którego wszędzie postępował, upewnił go był, iż po zdobyciu téj wieży, port i całe miasto poddać się muszą. Trzy ogromne działa na 18 stóp długie, rzucające kamienne kule od 2-3 stóp średnicy, skierowano na wieżę, a 300 przeszło strzałów ze strony morza nie zrobiły jeszcze najmniejszego wyłomu; lecz od strony lądowéj silne fortyfikacye znacznie nadwerężonemi zostały. Wielki mistrz Piotr Aubuison, przekonany, że bezpieczeństwo miasta zależy tylko od utrzymania téj baszty, wysłał najmężniejszych swoich rycerzy, aby w czasie naprawy wyłomów, nieprzyjaciela wszystkiemi odpierali siłami. Jakoż napastnicze tłumy niewiernych, odparła waleczność chrześciańskich hufców ze stratą, a wódz turecki uderzył teraz na samo miasto, lecz i tu niebędąc szczęśliwszym, zwrócił wszystkie siły znowu ku Mikołajowskiéj baszcie. Najgłówniejszą zawadą pomyślnego skutku, był wązki kanał między groblą i stanowiskiem Turków. Z tego więc powodu wystawili most nakształt tratwy; aby zaś jeden jéj koniec przytwierdzić na grobli, jeden z odważniejszych Turków pod zasłoną nocy, przebrał się z kotwicą przez kanał, i umocował ją w skale pod powierzchnią wody; przez ogniwo kotwiczne przeciągnął grubą linę, któréj jeden koniec był przytwierdzony do mostu, i napowrót zabrał ją z sobą dla przytwierdzenia do windy, za pomocą któréj miano ściągnąć most na miejsce, gdzie znajdowała się kotwica.

Dostrzegł to niedaleko znajdujący się żołnierz, a kiedy Turek po założeniu kotwicy, oddalił się, ów żołnierz zapadł w morze, odciął linę i przyniósł kotwicę wielkiemu mistrzowi. Kiedy już tym sposobem Turcy most przygotowali, zaczęli robić swoją windą i z wielkim podziwem, mostu nie ruszywszy z miejsca, przyciągnęli tylko samę linę od kotwicy. W czasie drugiego oblężenia wyspy 1522, tak wieży, jak i samego zamku, bronił waleczny bohater Guyst de Castellane z pomocą 20 innych rycerzy i 300 wojowników. Turcy jednak napad swój ciągle na samo kierowali miasto, do wieży zaś w nocy tylko strzelano. Pięćset takich attaków nocnych, zburzyły nakoniec basztę ze strony zachodniéj. Turcy szturm przypuścili, lecz znalazłszy za gruzami pierwszego, drugi wał obwarowany, ze stratą cofnąć się musieli. Z innych stron za to nieprzestawali attakować miasta, aż nareście usilowania ich pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem.

POLOWANIE NA LAMPARTY W INDYACH.

Najzagorzalszy europejski myśliwiec z większym daleko zapałem poluje w Indyach, jak w saméjże Europie; więcéj albowiem podniety, więcéj nowości nastręcza się tam mieszkańcowi zachodu. Krajowidy są wspanialsze i bardziéj zachwycające, zwierzyna śmielszą, dzikszą i trudniéjszą do pokonania, a jezdne bydlę strzelca, najsilniejszém, największém i najzmyślniejszém ze wszystkich zwierząt. Jeśli się uda myśliwcowi na słoniu siedzącemu, wytropić w dzikich zaroślach tygrysa albo lamparta, cała jego istota nowém ukrzepia się życiem, wszelka myśl o niebezpieczeństwie ustępuje, i z niecierpliwością, radby już widział, wyskakującego na siebie dzikiego nieprzyjaciela.

W Indyach, rzadziéj polują na lamparty, jak na tygrysy, strzelcy bowiem mniéj w ogóle znajdują przyjemności. Lampart jest czujniejszym i bojaźliwszym od tygrysa, i dla tego nieraz można kilkanaście dni błądzić po zaroślach, nieznalazłszy ani jednego. Zwykle przebywają tylko w najdzikszych lasach, zkąd w nocy wychodzą dla połowu mniejszych zwierząt, jak naprzykład, owiec, kóz, cieląt i t. d., rzadko jednak napastują ludzi. Są do najwyższego stopnia żarłoczne, łup swój rozszarpują szponami i zębami, połykają z niepojętą chciwością, i mimo to wszystko zawsze przecież wychudłe. Ze wszystkich zwierząt, należących do rodzaju kotów, one bezwątpienia najzręczniéj wdrapują się na drzewa, uchodząc ścigania strzelca. Dowodzi tego indyjskie nazwanie lamparta, Lackribung, drzewne zwierzę. Lampart ma nadzwyczaj piękną skórę, jasno-połyskującą w okrągłe czarne centki, wieńcami rozrzucone po całém ciele. Długi jest na cztery blisko stopy, mierząc od samego ostrza pyska do początku ogona, 2 1/2 stopy zwykle długiego.

Udzielamy tu opis jednéj myśliwskiéj sceny z podania pewnego podróżującego anglika. Lampart schronił się był do gęstego lasu, niedaleko jednéj wioski; kilka psów zwietrzyły ślad jego, i lampart zemknął na

wysokie drzewo Mango. Nasz Anglik, nie daleko mieszkający, wsiadł na słonia, i uzbroił się w strzelbę. Kiedy się zbliżył do drzewa, czujne zwierzę ukryło się za grubą gałąź, mogącą zabezpieczyć jego ciało od razów myśliwca, lecz głowa nie była ukrytą, Anglik zaś tak dobrze wymierzył, że kula ugodziła między oczy. Z straszliwym rykiem przycisnął lampart łapą swoją ranę i upadł.

Lampart równie jak i tygrys, staje się dzikim i wściekłym, walcząc o życie; siła pomnaża się w sposób niepojęty w tak malém zwierzęciu, a szczególna zwinność czyni go straszliwym. Nieraz wskakuje na grzbiet słonia i porywa w swe szpony jeźdzca; słoń nawet lęka się go tak mocno, że nie łatwo zbliży się do żywego lamparta. Jest nikczemnym, jak każde zwierzę tego rodzaju; jeśli tylko umknąć potrafi nie zaniedba ujść napaści małego nawet zwierza. Rzadko na łup swój w czasie dnia uderza, lecz skrada się nocą i pochwyca w nagłym napadzie. Nieraz cały dzień chodzi, mimo żarłoczności swojéj, bez najmniejszego pokarmu. Jednak obok swojéj podłości, jeśli rozdrażnionym zostanie, staje się zbyt niebezpiecznym. Pewien Anglik zwiedzający przedtém południowe okolice Indyi, kazał rozbić namiot za nadejściem nocy, w pobliżu dzikich zarośli, niedaleko pewnéj wioski. Miał przy sobie psa jednego z trójgiem małych jeszcze szczeniąt; był on przywiązany do drzewa, niedaleko zaś ztamtąd dwaj palankinowcy zajęli mocne łożysko. Noc była bez gwiazd i księżyca, a bliska gęstwina ciemność owę powiększała tymbardziéj. Zaraz po północy, gwałtowny hałas obudził podróżnego. Zerwał się ze swojego łoża, i poznał natychmiast, że jakiś zwierz drapieżny, tygrys, jak mniemali nościy, pochwycił psa jego. Zaledwie dzień zaświtał, wziął swoię strzelbę i puścił się z dwunastą uzbrojonymi towarzyszami w gęstwinę leśną, dla wytropienia mniemanego tygrysa.

Na samym brzegu gęstwiny, znaleźli tak gęsto zarosłe krzaki, że nie zdołali już przedrzeć się głębiéj. Rozpuścili mnóstwo psów wiejskich po lesie, których szczekanie, wkrótce oznajmiło wytropienie śladu zwierza. Głośne i przerażające wycie zapowiedziało napad i walkę z nieprzyjacielem; jakoż wkrótce wyskoczył ogromny lampart przez pięciu psów ścigany, z których jeden już go uchwycił był za nogę. Jeden z towarzyszów Anglika wystrzelił i trafił w lewą łopatkę zwierza. Upadł, lecz nagle porywając się, uderzył na strzelca, powalił, zatopił szpony w jego ciało i rozdarł mięso aż do kości. Drugi strzał;—lampart opuścił swoję zranioną ofiarę aby się rzucił na drugiego nieprzyjaciela; ale ponieważ kula trafiła go w kość pacierzową, nie zdołał już uczynić drugiego skoku. Jednak powlókł się jeszcze naprzód kilka kroków i zdawał się zagrażać rozpaczającym oporem, gdy tymczasem Anglik wymierzył i zadał mu cios śmiertelny.

Tak rzadko widzieć się zdarza we dnie lamparta, że podróżujący bezpiecznie mogą przebywać największe gęstwiny. Sam tygrys jest najokropniejszym tyranem lasów, a gdzie obierze swoje legowisko, otacza go pustynia dzika na około, grożąca co chwila niebezpieczeństwem. Rzecz godna uwagi, że wszystkie drapieżne zwierzęta w Indyach z rodzaju kotów pochodzące i napastujące ludzi, wolą czarnych niż białych. Utrzymują to wszyscy najdoświadczeńsi strzelcy; nasz opowiadacz zapewnia, że się to wszędzie potwierdza; gdziekolwiek tygrys napadł Europejczyka w towarzystwie krajowca, zwierz uderzał zawsze pierwéj na krajowca.

MONOGRAMMA.

Imię Napoleon złożoném jest z dwóch wyrazów greckich, które znaczą: *Lew pustyni.* To samo imię dowcipnie rozłożone, tworzy zdanie, oznaczające szczególniejsze podobieństwo z charakterem tego nadzwyczajnego człowieka.

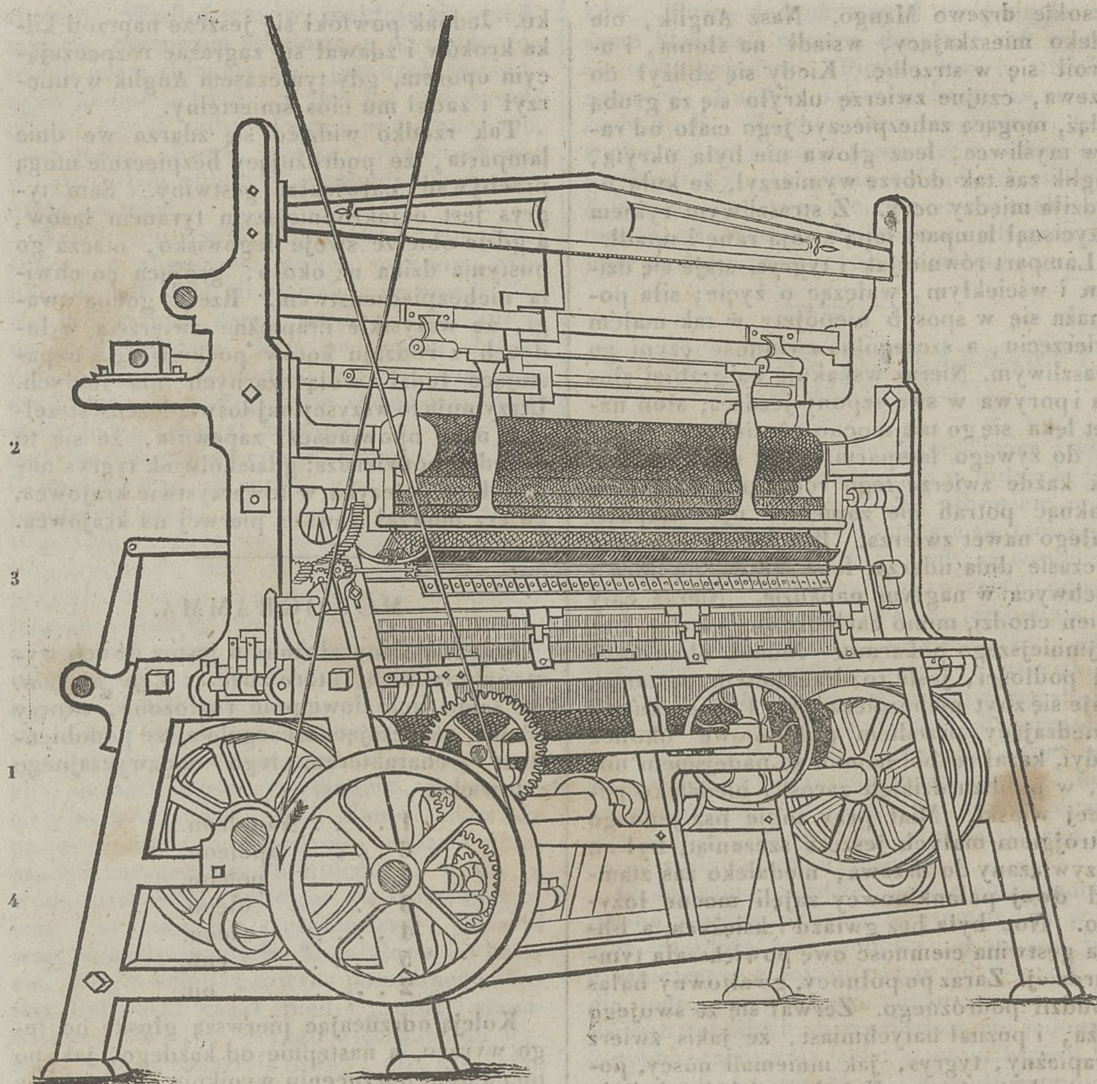
1 . . . . Napoleon.
6 . . . . apoleon.
7 . . . . poleon.
3 . . . . oleon.
4 . . . . leon.
5 . . . . eon.
2 . . . . on.

Koleją odrzucając pierwszą głoskę od tego wyrazu, a następnie od każdego, jaki po piérwszém odrzuceniu wyniknie, znajdujemy sześć wyrazów greckich, których dosłowne tłumaczenie, podług porządku numerami oznaczonego jest takie: Napoleon będąc lwem ludów, przechodząc burzył grody. (*Napoléon, on, oléon, léon, éon, apoléon, poléon*).

MACHINA ROBIĄCA KORONKI ANGIELSKIE.

Wyobrażona tu machina, nader zawikłanego składu, wyrabia bawełniane lub jedwabne tkanki, zupełnie do gładkich koronek nicianych podobne, i również jak te ostatnie do strojów damskich używane. W handlu nazywają takowe tkanki *bobinetami.*

Długi drewniany walec (1) zowie się *cewą*, na którą nawijają się nici, zastępujące miejsce osnów w zwyczajnych tkackich warsztatach. Nici te wznoszą się pionowo w górę, gdzie przedzielone są grzebieniem i tak



(MACHINA ROBIĄCA KORONKI ANGIELSKIE.)

zwaną drabinką niciana, które je utrzymują w równoległém i bliskiém od siebie położeniu. Następnie nici te przechodzą pomiędzy dwa drewna (3), do walca (2), na którym się przytwierdzają; walec ten zwija na sobie wyrobioną tkankę. Kształtowanie téj ostatniéj odbywa się przeplataniem osnowy wątkowemi nitkami, które w takiejże liczbie utwierdzone są przy dwóch drewnach (3). Wątkowe nitki zwinięte są na szpulkach złożonych z dwóch blaszek bardzo cienkich, które w środkowym punkcie spojone z sobą, zaledwie na ćwierć lub trzecią część linii są grube, a półtora cala średnicy mają. Szpulki te zastępują miejsce czółenek w zwyczajnym warsztacie tkackim; przerzucane zaś pomiędzy osnownemi nitkami, odbywającemi ruch przemienny pionowy, formują tkankę koronkową. Ruch téj machinie nadaje koło (4) obracane siłą wody, pary, lub zwierzęcą. Gotowa tkanka przeciąganą bywa nad płomieniem z wyskoku winnego, i tym sposobem pozbywszy się wszelkich włókien, staje się gładką, a przez wyblechowanie, skrochmalenie i zmaglowanie, połyskliwą. Całą sztukę rozcinają zwykle na kawałki, od jednego cala do dwóch łokci szerokie, rozmaitéj długości.

Mechanizm tego warsztatu, długo przez Anglików tajony, odgadł niemiec *Wieck* z Chemnitz, i od roku 1832 założył fabrykę bobinetów przy Harthau, która 20 takich warsztatów zatrudnia.

w Warszawie, w Drukarni J. Glücksberga, Księgarza Szkół Publicznych, Ulica Przejazd N. 649.